

Rozdział 3: Częstotliwość ucieczki

Julmargo: Prawda Trojga

Mateusz Palczewski – www.julmargo.com

Deszcz we Wrocławiu zawsze wydawał mi się romantyczny. Dzisiaj był po prostu mokry, zimny i okropnie przeszkadzał mi w utrzymaniu równowagi na dachu biurowca przy ul. Dubois.

Moje życie jeszcze godzinę temu kręciło się wokół egzaminu z historii i tego, czy chłopak z trzeciej klasy, który podobał się połowie szkoły, w końcu do mnie napisze. Teraz? Teraz patrzyłam, jak moi dwaj młodsi bracia przeskakują nad przepaścią między budynkami, a ja musiałam pilnować, żebyśmy nie zostali namierzeni przez drony Eterna Corp.

– Marcel, jesteś pewien, że to tędy? – szepnęłam.

Mój głos brzmiał dziwnie. Był w nim metaliczny pogłos, jakby każda sylaba wibrowała w powietrzu jeszcze długo po tym, jak ją wypowiedziałam. Czułam to w gardle – jakbym połknęła mały, żywy magnes, który reagował na wszystko wokół.

- Skręćcie w lewo za wentylatorem - mruknął Marmar. Jego okulary były zaparowane, ale on i tak nie patrzył przez szkła. Patrzył „obok” rzeczywistości. - Widzę ich sieć. Próbują nas otoczyć dzięki algorytmowi przewidywania ruchu. Myślą, że uciekniemy w stronę dworca.

- To gdzie idziemy? - Gogo, który do tej pory biegł z przodu jak taran, zatrzymał się tak gwałtownie, że prawie na niego wpadłam. - Jeśli nie na dworzec, to gdzie? Nie mamy samochodu, nie mamy pieniędzy, a rodzice...

Gogo urwał. Widziałam, jak zaciska pięści. Skóra na jego kłykciach była szara i twarda, jakby wyszlifowana z granitu. Miał dwanaście lat, a przed chwilą prawdopodobnie połamiał żebra dorosłemu facetowi w pancerzu. Widziałam w jego oczach czyste przerażenie wymieszane z adrenaliną.

- Na dworzec - powiedziałam stanowczo. - Ale nie pociągiem.

- Julka, Marcel mówi, że tam nas czekają! - Gogo prawie na mnie krzyknął.

Podeszłam do niego i położyłam mu dłonie na ramionach. Zwykle to on był tym „dużym”, mimo wieku, ale teraz czułam, jak drży.

- Gogo, spójrz na mnie.

Kiedy na niego patrzyłam, poczułam, jak ta dziwna energia w moim głosie zaczyna się stabilizować. To był mój „filtr”. Ludzie zawsze mi ufali, ale teraz to nie był tylko urok. To była fala. Moje słowa wchodziły w rezonans z jego tętnem, uspokajając je. Gogo nagle wypuścił powietrze i jego skóra wróciła do normalnego koloru.

– Pójdziemy na dworzec, bo tam jest najwięcej ludzi – wyjaśniłam, zerkając na Marmara. – Marcel, potrafisz sprawić, żeby kamery nas nie widziały?

Marmar uśmiechnął się krzywo, co przy jego bladej twarzy wyglądało nieco upiornie.

– Mogę zrobić coś lepszego. Mogę sprawić, że każda kamera na Dworcu Głównym będzie widziała nas jako trzech starszych panów z laskami. Ale potrzebuję dostępu do terminala.

– Dobra. Ja zajmę się „atmosferą” – powiedziałam, choć sama nie wiedziałam, co to znaczy. Czułam jednak, że mój śpiew, to moje dziwne nucenie, potrafi wpłynąć na to, jak ludzie nas postrzegają. Jeśli będę nucić „ciszę”, nikt nie zwróci na nas uwagi.

Zeszliśmy po drabinie przeciwpożarowej do ciemnej alejki. Wrocław, który znałam – miasto krasnali, mostów i studentów – nagle stał się labiryntem pułapek. Każdy przechodeń wydawał mi się agentem. Każdy czarny samochód był zagrożeniem.

- Julka? - Marmar zatrzymał się przy wejściu do tunelu pod torami
- ta kostka od taty... ona zaczęła nadawać.

- Co? Co nadaje?

- Nie dźwięk - Marcel uniósł czarny przedmiot. - Ona nadaje jakąś strukturę. To mapa. Ale nie taka zwykła. To mapa... Pokazuje punkt w jakichś wysokich górach, chyba Alpach. Miejsce, które nazywa się „Domem Ciszy”.

- W Alpach? - Gogo otworzył szeroko oczy. - Przecież my nawet nie mamy paszportów!

- Gogo, spójrz na nas - westchnęłam, poprawiając mu kaptur. - Myślisz, że przy tym, co potrafimy, paszporty to nasz największy problem?

Weszliśmy do głównej hali dworca. Było późno, ale tłum wciąż gęstniał. Zapach kawy, mokrych płaszczy i tanich perfum uderzył mnie w nozdrza. Zaczęłam nucić. To był bardzo niski, monotonny dźwięk, niemal niesłyszalny w gwarze dworca.

Poczułam to natychmiast. Ludzie wokół nas zaczęli... tracić ostrość wzroku, gdy patrzyli w naszą stronę. Przesuwali się obok nas, jakbyśmy byli tylko cieniami na ścianie. To było niesamowite i przerażające jednocześnie. Czułam, jak każda nuta odbiera mi

odrobinę sił, jakby ten dźwięk karmił się moim cukrem we krwi.

- Marmar, szybko - szepnęłam, czując, jak kręci mi się w głowie.

Marcel podszedł do biletomatu. Nie wyciągnął karty ani gotówki. Położył dłoń na ekranie. Widziałam, jak jego palce lekko drżą. W moich uszach rozległ się pisk elektroniki, choć nikt inny go nie słyszał.

- Już - powiedział po kilku sekundach. - Jesteśmy w systemie jako obsługa techniczna pociągu towarowego do Monachium. Odjeżdża z peronu piątego za cztery minuty.

- Towarowy? Będziemy jechać z węglem? - jęknął Gogo.

- Z luksusowymi samochodami, mądralo - odparował Marmar, odzyskując na chwilę swój przemądrzały ton - będziemy mieć klimatyzację i skórzane fotele. Chodźcie.

Gdy wchodziliśmy na peron, kątem oka zauważyłam trzech mężczyzn w czarnych garniturach. Nie biegli. Szli spokojnie, skanując tłum tabletami. Jeden z nich zatrzymał się i spojrzał prosto w moją stronę.

Moje nucenie na moment się załamało. Serce waliło mi jak szalone.

- Nie przerywaj, Julka! - syknął Marmar, chwytając mnie za rękę.

Mężczyzna zmrużył oczy. Widziałam, że jego tablet pokazuje błąd. Czerwony komunikat: „ANOMALIA AKUSTYCZNA”. Zrobił krok w naszą stronę, wyciągając coś zza pazuchy.

- Gogo - szepnęłam przez zęby, nie przerywając nucenia.

Mój najmłodszy brat nie musiał pytać. Zrobił coś, co wyglądało na zwykłe potknięcie. Uderzył stopą w betonowy peron. Nie mocno, ot, tak, jakby tupał z niecierpliwości.

Efekt był taki, jakby pod dworcem wybuchła mała bomba. Płytki chodnikowe pękły, a fala uderzeniowa wyrzuciła mężczyznę w szarym garniturze w górę, jakby był szmacianą lalką. Ludzie zaczęli krzyczeć, wybuchła panika.

- Wskakujcie! - krzyknął Marmar, wskazując na otwierające się drzwi ostatniego wagonu, który właśnie ruszył.

Wskoczyliśmy w ostatniej chwili. Gdy pociąg nabierał prędkości, zostawiając w tyle Wrocław, nasze mieszkanie i rodziców, spojrzałam na braci. Byliśmy brudni, mokrzy i śmiertelnie przerażeni.

- Julka? - Gogo usiadł na podłodze wagonu, patrząc na swoje

dłonie, które wciąż lekko lśniły metalicznym blaskiem. – Myślisz, że rodzice... że oni naprawdę wiedzieli, że to się stanie?

Spojrzałam na czarną kostkę w rękach Marmara.

– Myślę, że rodzice znali prawdę, której my dopiero musimy się nauczyć. I myślę, że dopóki jesteśmy razem, to jedyne, co jest teraz prawdziwe.

Pociąg wjechał w tunel, a ja wiedziałam jedno: „Prawda Trojga” to nie będzie opowieść o tym, jak zostaliśmy bohaterami. To będzie opowieść o tym, jak przetrwaliśmy w świecie, który chciał nas usunąć.